

Sen o królestwach

Paweł Milcarek

szkice

Dwadzieścia cztery wieki temu Nabuchodonozor II, władca Babilonu, największego państwa ówczesnego świata, miał niepokojący sen. Zaczynał się on od widoku potężnego posągu. „Głowa tego posągu była z czystego złota, pierś jego i ramiona ze srebra, brzuch i biodra z miedzi, golenie z żelaza, stopy zaś jego częściowo z żelaza, częściowo z gliny”. Żydowski prorok Daniel okazał się jedyną osobą, która potrafiła opowiedzieć Nabuchodonozorowi zarówno to, co mu się śniło, jak i to, jakie jest znaczenie dziwnego snu.

Daniel powiedział królowi, że ogromny posąg wyobraża cztery wielkie królestwa, które nastąpią jedno po drugim. Pierwszym – „głową ze złota” – jest imperium chaldejskie Nabuchodonozora. Które późniejsze wielkie królestwa zostały zapowiedziane jako srebro, miedź i żelazo? Tego nie przeczytamy u Daniela. W tamtych czasach było to jedynie tajemniczą i groźną zapowiedzią przyszłości.

Kilka, a raczej kilkanaście wieków później autorzy chrześcijańscy traktowali ten obraz następstwa czterech królestw jako pro-roctwo już spełnione. Obraz pozostał tajemniczy i użyta w nim symbolika nie wydaje się do dziś oczywista, jednak już ze zwykłej historii wiemy, że po „złotym” Babilonie przyszła „srebrna” Persja, po niej – „brązowe” imperium Aleksandra Macedońskiego; a na końcu tego następstwa – Rzym cesarów, o goleniach z żelaza, a stopach z dziwnego połączenia żelaza i gliny, zwiastującego, że część tego imperium będzie trwała, a część krucha.

Cztery imperia, które dominowały po kolei w świecie starożytnym, w tej jego części, która znajdowała się w zasięgu spojrzenia autorów biblijnych – od Bliskiego Wschodu po wschodnie i południowe wybrzeża Morza Śródziemnego.

Tak oczywiście patrzył na to również francuski jezuita ojciec Louis Billot, gdy u końca XIX wieku wkraczał za prorokiem Danielem i za Ojcami Kościoła na ścieżkę wykładania „snu Nabuchodonozora”.

Ojciec Billot (1846–1931) był już wówczas cenionym wykładowcą Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie. Jako jeden z czołowych przedstawicieli tzw. szkoły rzymskiej w teologii łączył w swej twórczości naukowej dwa tony: z jednej strony przywiązanie do myśli świętego Tomasza z Akwinu (w duchu niedawnego wezwania Leona XIII, by z pomocą Akwinaty odbudować myśl chrześcijańską), z drugiej – twarda polemika z ideologiami nowoczesności, a zwłaszcza z tym typem światopoglądu, który nie bez udziału ojca Billota miał zostać napiętnowany przez Piusa X jako modernizm.

Jego podręczniki uczyniły go jednym z wpływowych teologów katolickich. I to właśnie w jednym z nich – w drugim tomie *Traktatu o Kościele Chrystusowym* wydanego w 1898 roku – wstępem jest analiza „snu Nabuchodonozora”.

Ojciec Billot dostrzegł bowiem w tym fragmencie biblijnym dobry wstęp do rozważania o stosunku Kościoła i państwa. Zwraca uwagę, że cztery potęgi świata starożytnego są przedstawione jako jeden posąg, zbudowany z różnych materiałów. Jest to bowiem jeden świat cywilizacji budowanej wyłącznie ziemskim instynktem, bez wpływu prawdziwej religii, raczej pod wpływem tyraństw i bestialstw fałszywych kultów.

I nagle ten przerażający kolos – wracamy do snu Nabuchodonozora – runął, gdyż w jego stopy ugodził jakiś kamień, „mimo że nie dotknęła go ręka ludzka”. Kamień ten oderwał się od góry i zniszczył posąg. „Wtedy natychmiast uległy skruszeniu żelazo i glina, miedź, srebro i złoto – i stały się jak plewy na klepisku w lecie”.

„Kamień zaś, który uderzył posąg, rozrósł się w wielką górę i napełnił całą ziemię”. Daniel tłumaczył swojemu królowi: „Bóg Nieba wzbudzi królestwo, które nigdy nie ulegnie zniszczeniu. Jego władza nie przejdzie na żaden inny naród. Zetrze i zniweczy ono wszystkie te królestwa, samo zaś będzie trwało na zawsze”.

I znowu: to, co nie tylko we śnie króla, ale także w tłumaczeniu Daniela rysowało się jako tajemnicze proroctwo, to kilkanaście wieków później było jak oczywista prawda dla Ojców Kościoła.

W swoim rozważaniu ojciec Billot przytacza słowa świętego Augustyna: „Czym jest góra, z której oderwał się kamień bez dotknięcia ludzkiej ręki? To Królestwo Żydów. Najpierw dlatego, że czcili jednego Boga. Z niego oderwał się jak kamień Pan nasz Jezus Chrystus... Zgniótł wszystkie królestwa ziemskie. Czym były królestwa ziemskie? Królestwami bożków, i te królestwa demonów zostały skruszone. [...] Czym jest oderwany od góry kamień bez dotknięcia ludzkiej ręki? To Narodzony z narodu żydowskiego bez udziału ludzi. Wszyscy bowiem, którzy się rodzą, rodzą się z czynu mężowskiego – a Ten, zrodzony z Dziewicy, narodził się bez dotknięcia dłoni ludzkiej... Rósł, a rosnąc, kruszył wszystkie królestwa ziemi. Stał się zaś wielką górą i napełnił całą ziemię”.

To nie było już następstwo królestw wziętych „z ziemi”, lecz początek jakiegoś nowego „panowania” – takiego, które wzбудził sam Bóg „bez dotknięcia ludzkiej ręki”; które „nie ulegnie zniszczeniu”.

Tu zaczyna się własny namysł ojca Billota. Na progu podręcznika o relacji Kościoła i państwa chce się on zastanowić, jaką dokładnie zasadniczą zmianę opisuje to zniszczenie kolosa przez kamień, potęg pogańskich – przez królestwo Chrystusa. Przecież nie chodzi tu – myśli autor – wyłącznie o to, że w świecie pojawiła się prawdziwa religia jako siła czysto duchowa, ograniczona do porządku ściśle religijnego. Wówczas nie mówiłoby się w prorocztwie o zniszczeniu dotychczasowych królestw, które były potęgami politycznymi. Z drugiej strony – przecież Bóg nie zamierzał w ogóle zniszczyć królestw, władzy politycznej.

„Sens proroctwa był więc taki, że w przyszłości, po zniszczeniu bałwochwalstwa i poznaniu Chrystusa Zbawiciela, autora prawa łaski, Kościół Chrystusowy zreorganizuje ludy i państwa co do ich porządku politycznego i cywilnego: nie przez wchłonięcie w siebie władz świeckich ani nie przez bezpośrednie podporządkowanie ich sobie, lecz jednak przez podporządkowanie pośrednie, na ile sprawa celu duchowego wiąże się z tym, co należy do ustroju cywilnego”.

Chodzi więc nie o zniesienie polityki lub jej zlekceważenie, lecz o zniszczenie pogańskiego absolutyzmu władzy państwowej. Odtąd u chrześcijan „najwyższą normą czy regułą w sprawach cywilnych nie była już despotyczna wola tyrana, nie prawo

wszechmocnego i wszystko pochłaniającego Państwa, lecz prawo ewangeliczne i wola Boża objawiona przez Kościół”.

„Państwo łączy się wewnętrzną unią z Kościołem, a nawet obiecuje mu podlegać, służyć i wiernie mu pomagać”. Ojciec Billot miał jeszcze przed oczami to wspomnienie zasad wielkiej cywilizacji chrześcijańskiej, gdy w końcowych akapitach wstępu swego dzieła – wydanego po raz pierwszy w roku 1898 – alarmował, że „już od stu lat” zasady te są lekceważone, „także wśród wielu katolików”, znajdujących się w klimacie „nowoczesnego liberalizmu”.

Nic dziwnego, że znaczna część tak zapowiedzianego dzieła to napiętnowanie rewolucji i „błędów liberalizmu”, z osobnym krytycznym potraktowaniem tzw. katolików liberalnych, którzy wewnątrz Kościoła niszczą rozumienie zasad jego relacji z państwem oraz przeciwdziałają przywróceniu chrześcijańskiego porządku społecznego.

A przecież na samym końcu książki ojciec Billot wrócił jeszcze do prorocत्व – lecz tym razem z Apokalipsy świętego Jana. Czyta tam, w rozdziale drugim i trzecim, słynne „listy do siedmiu kościołów”. Każdy z tych siedmiu opisuje kolejną epokę w erze chrześcijańskiej. Pierwsza („kościół w Efezie”) to „era apostolska”, pełna powiewu Ducha, ale i pierwszych błędów. Druga („kościół w Smyrnie”) to czas prześladowań. Trzecia („kościół w Pergamie”) jest czasami wolności, gdy po edyktie Konstantyna kwitnie teologia Ojców – ale i szalone herezje. „Kościół w Tiatyrze” to zaś dla ojca Billota symbol trwającego mniej więcej tysiąc lat (800–1800) ładu politycznego zainaugurowanego przez Karola Wielkiego: „ustanowienie świętego cesarstwa rzymskiego przypieczętowało podporządkowanie społeczeństwa doczesnego duchowemu i było jakby odbiciem organizacji społecznego królowania Pana naszego Jezusa Chrystusa”; mimo że nie brak było i ukrytego zła, które działało. Z kolei „kościół w Sardes” to symbol okresu, w którym postęp i bogactwo występują razem z coraz większą apostazją i obojętnością; w tym czasie głównym zadaniem wiernych jest zachowanie „tego, co otrzymali”, i czynienie pokuty.

Ma jeszcze potem nastać czas „kościół w Filadelfii”, czyli czas „nawrócenia pełni Żydów” i pojednania braci wewnątrz Kościoła, ale i ciężkiej, ostatecznej bitwy z Przeciwnikiem, a więc i wielkiego

kuszenia. I w końcu „kościół w Laodycei”: sąd nad światem, gdy Chrystus przyjdzie sędzić żywych i umarłych.

Autor tych prób zrozumienia dziejów i współczesności sądził, że wraz ze swoim pokoleniem znajduje się w epoce piątej: „epoce upadku, apostazji i liberalizmu”. „Oby nie odbiegała od prawdy ta nasza interpretacja! Albowiem pośród obecnego zła, którego doznajemy, interpretacja ta przynosi nadzieję na przyszłą odbudowę i – niech będzie wybaczone słowo – kontrrewolucję”.

Potem przyszedł wiek XX, z nim pierwsza wojna światowa (która miała miejsce jeszcze za życia kardynała Billota), ideologie czerwone i brunatne, a następnie wojna druga, o tyleż straszniejsza, a nadto jeszcze dziesięciolecia panowania komunizmu i stopniowej destrukcji ładu, także w krajach Zachodu. Czas postępu i upadku.

Po napisaniu swoich podręczników ojciec Billot przeżył jeszcze niejeden dzień chwały: kreowany kardynałem przez Piusa X w 1911 roku, uczestniczył w wyborze dwóch Papieży: Benedykta XV (1914) i Piusa XI (1922). W trakcie koronacji tego ostatniego to on, wówczas siedemdziesięciosześcioletni, wkładał tiarę na skronie nowego Papieża. Pięć lat później, nie mogąc zaakceptować drażniących potępień papieskich uderzających w prawicową *Action Française*, poprosił Piusa XI o dymisję z kardynatu. Jedyne taki przypadek w erze nowożytnej. Ciesząc się znowu prostotą życia zwykłego jezuitę, spędził swe ostatnie lata w jednym z domów zakonnych, bez wystąpień publicznych. Przerwał to milczenie tylko raz – by poprzez list opublikowany na łamach jezuickiego pisma „Études” powiedzieć tym, którzy chcieli w nim widzieć zachętę do nieposłuszeństwa: „Niech wszyscy, nawet za cenę najboleśniejszych ofiar, ostatecznie poddadzą się wspólnemu Ojcu wiernych, gdyż bez tego można jedynie podążać na manowce, udawać się w najniebezpieczniejsze drogi, a w ten sposób poważnie zagrozić swemu zbawieniu wiecznemu”.

„Aniołowi Kościoła w Sardes napisz: [...] Znam twoje czyny: masz imię, [które mówi], że żyjesz, a jesteś umarły. Stań się czujnym i umocnij resztę, która miała umrzeć, bo nie znalazłem twych czynów doskonałymi wobec mego Boga. Pamiętaj więc, jak wziąłeś i usłyszałeś, strzeż tego i nawróć się!” (Ap 3, 1-3). ■